

Gross-Rosen

[...] Wijącą się to w lewo, to w prawo drogą posuwamy się wolno przez osadę Gross-Rosen. Ludność przygląda się nam obojętnie. Widzimy ironiczne uśmiechy młodzieży – starsi coś szepczą.

Wypadający z szeregów towarzysze spychani są do rowu – tam czekać będą odpowiedniego końca w swej wędrówce.

Jeszcze 500 metrów i zbliżymy się do zabudowań obozu. Wysoko na prawo widać kolejki linowe i same kamieniołomy i gdzie okiem sięgnąć wszędzie poruszające się postacie towarzyszy „tubylców”. Gęsto rozstawione budki wartownicze z wieżami świadczą o dobrej „opiece”. Już na 200 metrów przed bramą zostajemy przez gestapo i SS-manów przeliczeni – jeszcze chwila i zamkną się za nami wierzeje ludzkości.

Silnym reflektorem oświetlone dziedzińce obozu. Wszędzie, jak mrówki, kręcą się rozstawieni porządkowi. To starszyzna lagrowa, tzw. kapo i blokowi. Z ruchów ich widać, że znają swe obowiązki i że już niejednego transport przyjęli. Kurczowo trzymam syna za rękę, aby nas tylko nie rozdzielono.

Zawiniątka – nasz majątek – leżą przed nami. W ślad za innymi sięgamy by się pożywić. Wszak od pięciu dni nic w ustach nie mieliśmy. Niestety, co nam zostało, wszystko wprost przegniłe, cuchnące, boć na tym przez 5 nocy siedzieliśmy, na tym leżały trupy towarzyszy.

Starty na okruszyny, a częściowo zбитy w masę chleb, zmieszany z tłuszczem czy cukrem, to jedyna pamiątka z domu.

Rozbieramy się do naga, popędzani od stołu do stołu podajemy dane do ewidencji. Przejmujące zimno nocy usztywnia nam członki. Przy osobnym stole na lewo padają słowa wyjaśnienia urzędującego tam „tubylca”: „Od tej chwili nie macie nazwisk, jesteście numerami”. Jeszcze chwila i na szyi wiszą nam okrągłe blaszki z wybitymi numerami. Ja otrzymuję nr 12370, Zenek 12362.

¹ Alfred Krzysztofowicz, ur. 26.07.1898 r. w Zakopanem, urzędnik. 30.07.1944 r. ewakuowany z Pawiaka do KL Gross-Rosen, gdzie otrzymał numer 12370 (seria powtórzona), następnie pierwszym transportem przewieziony do AL Brieg. W 1945 r. ewakuowany do Buchenwaldu (nr 130248).

Patrzemy chwilę na siebie, milczymy i rozważamy. Dwa strzępy ciał ludzkich, wyzbyte za jednym pociągnięciem pióra praw ludzkich, wyrwane z rodziny – ojciec i syn.

Dochodzą nas jęki. To bity przez kogoś nasz towarzysz z wagonu. Za co? Niestety, z bólem stwierdzam, że czyni się to na każdym kroku. Bije się tzw. zugangów² za byle przewinienie, wszczepia się istniejącą tu dyscyplinę już a conto.

Jeszcze kilka formalności i trzęsieni atakiem febry pędzeni jesteśmy przed budynek – łaźnię. Przed budynkiem ustawiono dwa stołki. Tu padają pytania: „W razie śmierci kogo zawiadomić?” Och, to tragifarsa, to urągające treści słowa – „w razie śmierci”, a my – my podajemy adres naszej ukochanej mateczki.

Znajdujemy się na korytarzu łaźni. Dominującą rolę pomocników katowskich spełniają tu funkcyjni Niemcy lub Ukraińcy, są i nasi, Polacy. Kreatury te za miskę zupy gotowe są służyć diabłu. Polecenia SS-manów wykonują z całą bezwzględnością. Złe ustawienie się zugangów i już padają razy w brzuch, nerki czy głowę – byle skutecznie. Gdy cios za słaby, a ofiara nie pada, inni wołają: „Czego go głaszczesz!”

Stoję i ja pod ścianą, Zenek gdzieś w tyle, i wtem otrzymuję przywitalny cios w tył głowy. Odwracam się i widzę SS-mana. Kat ten jest, jak się później okazało, postrachem lagru. Trzymanym kijem o średnicy 30 mm rozdziela razy komu popadnie. Kto się z bólu nie skuli – otrzymuje ich więcej. Przechodząc wśród ofiar gwizdże ten psubrat jakąś szwabską piosenkę.

Bezceremonialne strzyżenie nam włosów, wszędzie: głowa, w kroczu i pod pachami, a ukoronowaniem tych zabiegów fryzjerskich było wygolenie nam na głowie pasów 3-centymetrowej szerokości, od czoła aż po tył głowy. Pas ten, jako symbol zbrodniczości, musieliśmy nosić przez cały czas niewoli.

Znów segregowanie i wreszcie już nad ranem odmarsz na bloki.

Układamy się do snu, to jest gdzie kto stoi, tam znużony pada jak podcięta kłoda. Jest ciasno i trudno w ciżbę tę wcisnąć palce. Na podłodze nowo zbudowanego bloku rozesłano trochę wiórów.

Nadzieje, jeszcze w czasie podróży, na otrzymanie ciepłej stawy i tym razem prysnęły, bo dopiero nazajutrz otrzymaliśmy trochę lury, tzw. kawy, a na obiad trochę zupy.

² Zugang – to w gwarze obozowej nowo przybyli do obozu więźniowie.

Dwa dni trwały segregowania i sprawdzenie niedobitków transportu pawiakowskiego i zanim zdołaliśmy wypocząć, rozpoczęto przygotowania do transportu.

Względne jeszcze wówczas powietrze wyżynne szybko stawia nas na nogi. Jesteśmy tylko zbici moralnie. Na każdym kroku jesteśmy poszturczeni, stałej pracy nie dostajemy, lecz za to korzysta z naszych usług kto chce i nie chce. Biorą nas do noszenia kamieni, czyszczenia uliczek – prace zwyczajowe, które wykonuje tzw. zugang.

Przez trzy dni tych zajęć mamy możliwość przyjrzeć się obozowi, a właściwie przedsiębiorstwu kamieniołomów.

Nienaganna czystość i silna dyscyplina, przestrzegana na każdym kroku, upodabniają obóz ten do dobrze prowadzonego.

Orkiestra przygrywająca w czasie wymarszu do pracy, boiska sportowe, ogródki, klomby itp. sprawiają miłe wrażenie. [...]

W straszliwie zakłamanym cynizmie rozbrzmiewała swym echem orkiestra, towarzysząc co rano wymarszom więźniów do pracy, do nadludzkich wysiłków w kamieniołomach. Ileż zakłamania i perfidii trzeba, by w takt marsza pędzić przed siebie ślaniających się z wycieńczenia i głodu więźniów.

Na ponure to widowisko patrzeć musieli wszyscy. Patrzyli i podziwiali swój czyn różnych rang SS-mani, arcykaci i władcy obozowi, lagrowi, blokowi, schreiberzy i cała swolocz najmitów i zaprzańców „eltesterów”.

Jak wyglądał ten ohydny akt ceremonialny, ułożony przez władze centralne w formie regulaminu, przytaczam poniżej:

Godzina 4.30 rano. Głos dzwonu na tzw. placu apelowym podrywa na nogi wszystko, co jeszcze żyje. Na blokach kierują tą akcją bestie pod mianem blokowych i „stubendinstów”. Żaden z więźniów nie posiada przywileju pozostania na pryczy choćby kilka sekund po dzwonie. Wypiciem czarnej cieczy zwanej kawą i zrobieniem porządku w bloku kończą się rozkosze 6-godzinny wypoczynku. Godzina 5 i znowu dzwon, dzwon na apel.

We wszystkich obozach apel był jedną z udręk więźniów, a bardzo często był też ostatnią godziną jego udręki. Tyczy się to szczególnie apelów wieczornych w okresie zimowym. Jeśli chodzi o obóz Gross-Rosen wystarczy powiedzieć, że na placu apelowym o wymiarach 80 na 50 metrów zmieścić się musiało 8 tysięcy więźniów³ (w okresie przedlikwidacyjnym około 25 tysięcy).

³ W tym okresie stan dzienny obozu głównego wahał się od 2500 do 3500 więźniów.

Ceremonia liczenia, sprawdzania, raportowania trwała niezbyt długo, ale w wypadku niezgodności stanu przeciągała się do kilku, a czasem kilkunastu godzin – po czym odmarsz na bloki lub przygotowanie do wymarszu, do robót w kamieniołomach.

Na dźwięk dzwonu ustawiali się piątkami więźniowie, przeznaczeni uprzednio do różnorodnych prac fizycznych w położonych obok kamieniołomach. Grupy te, liczące od 20 do 100 ludzi, oddane z chwilą wymarszu pod władzę właściwego kapo, ustawiały się w piątki, w porządku z góry ustalonym przez władze obozowe. Szły więc kolumny za kolumnami, a na końcu, dźwięcząc łańcuchami w takt „paradenmarszu”, szła kompania karna.

Zaiste, był to widok okropny. Zakuci w łańcuchy skazańcy o kredowobladych twarzach, wychudłą nad wyraz sylwetką przypominali widma ciągnące za sobą brzemię nieludzkiej tyranii „herrenvolku” XX wieku. Obuci w ciężkie „czołna”, ubrani w pasiaki z dodatkowo pomalowanymi czerwonymi paskami wzdłuż i w poprzek ciała, wybijali rytm nadawanego, przez stojącą obok orkiestrę, tempa. A obok pod baldachimem obozowej bramy, na której widniał napis – ARBEIT MACHT FREI – ustawiła się „szlachta” obozowa. Cała ta zgraja „Kulturvolków” w osobach Rapportführerów, Blockführerów, otoczona czeredą podłych sługusów, noszących na rękawach emblematy swojej nieograniczonej władzy. [...]

9 sierpnia 1944 r. stoimy ustawieni przed blokiem, gdzie czytane są numery tych, którzy w pierwszym rzucie opuścić mają Gross-Rosen.

Wysłuchani w ciągu to inne numery widzimy, że rozdzielani są ojcowie od synów, bracia od braci.

Jest i mój numer – 12370. Jeszcze kilka kolejnych i numer 12362 syna zostaje opuszczony. Było już późno, nie starałem się temu zapobiec, a zresztą gdzie interweniować, u kogo?

Tak jak tysiące innych przed nami, ubrano nas w pasiaste ubrania. Przyodziany w taki strój „heftling”, z wystrzyżoną na głowie „autostradą”, robił wrażenie kryminalisty.

Świt. Rano stoi wszystko gotowe. Odmarsz na Arbeitskommando „Brieg”. Zenuś już jest na innym, on zostaje lub przyjdzie innym rzutem. Przechodzi pomruk niezadowolenia. Jako Lagerältestra wyznaczono nam starego złoczyńcę z ośmioletnią przeszłością kryminalną, Niemca Schneidera. To postrach tubylców, to kreatura jakich mało. Od niego miał być zależny nasz byt. W obozie będzie panem życia i śmierci.

Przechodzimy przez bramę i znów ta sama trasa sprzed 4 dni. Maszerujemy, gęsto otoczeni przez SS-manów, na dworzec.

Zadrżały serca nasze na widok podstawionych wagonów. Po ilu nas wsadzą? Może znów męki powolnego konania bez wody i powietrza?

Jesteśmy radzi. Wsadzono nas po pięćdziesięciu do jednego wagonu. Mnie dręczy jedna myśl – co z moim synem?

Jesteśmy na miejscu. Jechaliśmy około 120 kilometrów⁴. Każdy wagon w towarzystwie dwóch żołnierzy z Luftwaffe. Od tej chwili tracimy bezpośredni kontakt z SS-manami.

Ustawieni w piątce maszerujemy przez olbrzymie lotnisko i po godzinnym marszu docieramy do naszej „rezydencji”.

Nie obóz to, a raczej kurnik. Baraki zbudowane z dykty, niziutkie, o wymiarach 6 x 3 m, przy lada podmuchu przeciekające i trzeszczące.

Nie ma tutaj łaźni czy pralni, brak ubikacji, brak pomieszczeń na biuro. Psiarnia.

Tak jak wszędzie i tu okala obóz drut z przewodami o wysokim napięciu oraz drewniane wieże wartownicze, co razem tworzy widok nad wyraz ponury.

Jestem przydzielony do piątego bloku i koczuję z dziewięcioma towarzyszami niedoli.

Roilo się tu w obozie od przeróżnych funkcyjnych, różnych narodowości. Był więc Lagerältester, Lagerkapo, Blockältester, Lagerschreiber, Lagerpolizei, Revierkapo, Küchenkapo, Kolonnenkapo, Bekleidungskapo, Schusterkapo itp.

A teraz dać muszę charakterystykę personelu, który przez siedem miesięcy był nam jak wcielenie szatana, obleczonego w postać ludzką. I tak: Lagerführer – był to kapitan SS (jedyny zresztą w obozie), pochodzący z Bielska na Śląsku Polskim. Był kreaturą, jak każdy SS-man. Pozostali, tj. wartownicy (lotnicy), za wyjątkiem kilku (Parteigenosse), byli to ludzie (jak na Niemców) w swym zawodzie względni, a niektórzy wprost wyłamywali się spod drakońskich zarządzeń pana kapitana.

Jednak największą plagą dla nas byli panowie blokowi i kapowie. Psubraty te, wywodzący swe rodowody z Polski, Niemiec i Czech (w innych obozach ze wszystkich nacji świata), za miskę stawy lub z sadystycznych pobudek robili wszystko, by się władzy przypodobać. Bicie do utraty przytomności, dodatkowe ciężkie prace karne rozdzielali na zawołanie. Jak

⁴ Odległość między Brzegiem a Rogoźnicą wynosi 90 km.

powiedziałem otoczono nas ludźmi, których hasłem było samemu przeżyć, przeżyć za wszelką cenę.

Tak jak w innych lagrach, tak i u nas panował system dobierania ludzi jako „eltestów” (starszych). Wystarczyło bowiem kilka fachowych uderzeń w nerki czy żołądek kolegi, by nazajutrz zostać panem kapo. Aby dalej utrzymać się na stanowisku, brnąć trzeba było w tym bagnie po uszy.

Otrzymanie przywileju „starszego” uzależnione więc było od zaprzeczenia duszy wraz z ciałem diabłu. Panom tym nie groził nigdy upadek sił z wycieńczenia, czego następstwem była wędrówka do krematorium. Otrzymywali oni bowiem dodatkowe porcje żywności, wygodniejsze warunki kwatrowania, no i zwolnienie od wszelkich prac fizycznych (a to wszystko za cenę jeżeli nie życia, to zdrowia kolegi).

Tak było i u nas. Uzbrajali się ci panowie w kije i bity, a bito przy każdej sposobności. Ci, którzy tego czynić nie chcieli, już w pierwszych dniach wyzbyli się stanowisk na korzyść od siebie „lepszych”.

Tylko wyjątkom, ze względu na znajomość języka niemieckiego udawało się lawirować i utrzymywać na stanowisku.

Nie można się zgodzić z teorią głoszoną w innych podobnych wspomnieniach obozowych, że każdy kapo czy blokowy był człowiekiem nad wyraz złym i zdegenerowanym. W moim obozie było dwóch, a raczej trzech, którzy jako ludzie wspaniale umieli pogodzić stanowisko kapo ze swoim sumieniem i częstokroć byli oni dobrodziejami dla swych podkomendnych.

Znam wypadek, że kapo 45 oddziału roboczego wykonywał najcięższą pracę, wyręczając na zmianę słabszych kolegów. Obywatel ten zyskał nawet pewien jakby szacunek strażników SS-mańskich, choć z drugiej strony był pośmiewiskiem u władz z gatunku zbirów obozowych.

Należy wziąć pod uwagę, że większość zbirów kapowskich nic z polityką nie miała wspólnego. Znaleźli się ci panowie w lagrach za przewinienia natury kryminalnej, względnie za wykroczenia przeciwko przepisom niemieckim.

Jeszcze przed naszym przybyciem na biurku pana kapitana spoczywało, złożone przez różne firmy prywatne, zapotrzebowanie na „białych murzynów”. Każda więc z takich instytucji brała potrzebną jej liczbę „heftlingów”, płacąc do kasy lagrowej pewne wynagrodzenie miesięczne.

Istniejąca wówczas firma „Vianowa” zatrudniała około 500-600 ludzi. Inne firmy, jak „Maszewsky”, „Forster” itp., po 30-100 ludzi. Rozbudowa lotniska i budowa autostrad i dróg była dominującą pracą w obozie.

Dostałem się do firmy „Vianowa”. Doprowadzonych przez około 20 wachmanów na miejsce pracy, otoczyła zgraja majstrów czy inżynierów, których zadaniem było przez cały czas pracy (od 5.30 do 17.00) wyciągnięcie z nas maksimum wysiłku. Panowie ci byli nagradzani za skuteczne starania w tym względzie. Tak samo otrzymywali pewne „pensje” (ciche) wachmani za wyśrubowanie wysiłku pracy.

Nic też dziwnego, że wszystkie te premie i przywileje kapów doprowadziły do ruiny fizycznej, w krótkim czasie, nawet najwytrzymalszych „heftlingów”. Wykańczali się systematycznie, wszyscy wędrowali do rewiru (izby chorych), by w końcu jako „mużułman” iść w transport do Gross-Rosen, inaczej mówiąc do komina.

Tak. Takie były warunki, taki był ułożony system pracy, a raczej system wykańczania szkodliwych dla Wielkiej Rzeszy elementów.

W warunkach, kiedy nie udało się obliczyć ilości wyrzuconej ziemi w metrach kwadratowych, kolby karabinów i kije kapów regulowały odpowiednio tempo pracy. Wyprostowanie się nad łopatą było już oznaką lenistwa (ba, nawet sabotażu), na co błyskawicznie reagowano. Ileż to trzonków połamano na grzbietach więźniów, byleby było odpowiednie tempo.

Przekopujemy olbrzymi, bo trzymetrowej wysokości wał ziemi, rozstawieni jeden obok drugiego, a nad każdą dziesiątką kapo.

Widać, że pan taki cały zbrodniczy swój instynkt skierowany ma ku nam. Winnych za niewłaściwą pracę kierowano do p. majstra, a jeszcze innych do wachmana.

Wszyscy ci panowie przechadzali się wzdłuż szpaleru więźniów i jak powiedziałem regulowali odpowiednio tempo pracy. Karano doraźnie uderzeniem kija czy kolby, lecz w wypadku cięższego przewinienia notowano numer, a nazajutrz nieszczęśliwy numer, na przykład 12370, nie wyszedł do pracy, leżał posiniaczony 25 uderzeniami kija, „ściśle wg orzeczenia lagrowego” i przeniesiony został do kompanii karnej.

Prawo kary chłosty miał z reguły kapo, Vorarbeiter, a w obozie blokowi. Wystarczyło w obozie nie dość szybko zdjąć czapkę, źle ustawić się na zbiórce, by dostać cięgi. Raz uderzony delikwent przez jednego ze starszych był magnesem dla zwyrodniałych innych sadystów. Było to jakby widowiskiem czy zawodami, kto z tych panów mocniej uderzy (kapo Willy czy Antoni). Były to ciosy znane w obozie, a ulubione przez tych czy innych kapo. Upadek na ziemię delikwenta był jakby unieruchomieniem rąk oprawcy, gdyż szły w robotę ciężkie buty drewniane. Ciosy w jądra, nerki

czy wątrobę (rzadko w głowę). Tylko szybkie powstanie mogło obronić biedaka od kalectwa, a raczej śmierci.

Warunki takie w skwarze sierpniowego słońca, brak bielizny oraz najpotrzebniejszych lekarstw sprawiały, że szeregi nasze topniały z każdym dniem. Choć wypadki w obozie były na ogół rzadkie, to liczba wykończonych, czyli tzw. muzułmanów była zastraszająca.

Z odbitymi nerkami czy wątrobą, z gruźlicą płuc czy otwartymi ranami na ciele, wędrowali nieszczęśliwi co pewien czas do centrali, gdzie rzadko który dochodził do zdrowia. Miejsca ich natychmiast uzupełniano tak, że stan zawsze był utrzymany. W okresie 6-miesięcznym odeszło tych nieszczęśliwców około 400⁵ i jak się później okazało, z pozostałych 600 tylko połowa dojechała w czasie ewakuacji do Buchenwaldu, z czego znów tylko 1/4, tj. około 75 ludzi doczekało oswobodzenia w Dachau⁶.

Sadystyczne wyczyny „opiekunów” nie ograniczały się tylko do bicia, były także inne sposoby uprzykrzania życia bliźnim, i tak np. powracającym „kolonistom” roboczym z odległych placówek na obiad, kazano otrzymaną strawę spożyć w skwarze słonecznym, siedząc na ziemi w kurzu, a w obronie zdrowia nie pozwalano pić wody, albo też dla „bezpieczeństwa” odbierano łyżki.

Innym rodzajem kary było stawianie skazanego „w druty”. Polegało to na staniu, w skwarze dnia lub na mrozie, w jednej koszuli, kilkanaście godzin bez przerwy, w małej powierzchni otoczonej od stóp do głowy drutem kolczastym.

Znany „sport” stosowano jako karę dodatkową, przeważnie po biciu. Kara ta polegała na wykonaniu przez delikwenta na komendę różnych skoków, żabek, kulania się przez głowę w błocie czy wodzie, a od szybkości wykonywania tych ruchów uzależniona była liczba uderzeń kijem czy łopatą.

Pierwszą tego rodzaju karę otrzymałem od Czecha, a jednocześnie volksdeutscha, któremu zresztą później danym mi było spłacić dług z nawiązką.

⁵ Zdaniem innych więźniów, w tym obsady rewiru z AL Brieg, przez cały czas jego funkcjonowania zmarło tam około 50-60 więźniów, a kilkudziesięciu wycofano do Gross-Rosen, skąd nadających się jeszcze do pracy skierowano do innych filii.

⁶ Część więźniów z AL Brieg trafiła podczas ewakuacji obozu głównego do transportów skierowanych do Leitmeritz (filia KL Flossenbürg) i do Mittelbau-Dory. Inni nie byli ewakuowani do Dachau, ale zostali wyzwoleni w Buchenwaldzie.

Największą zbrodnią było, że do czasu odejścia, a raczej nadejścia uzupełnienia, w miejsce wykończonych skazańców, wysyłano do pracy ciężko chorych. Otwarte rany na ciele, flegmona, ostatnie stadium gruźlicy lub kompletne wyczerpanie fizyczne nie mogło być w żadnym razie przeszkodą w wyjściu do pracy, a co więcej, aby uzupełnić lukę w kolumnie, wyciągano nawet leżących na rewirze chorych.

Wielką udręką był brak najprostszych środków leczniczych, duże ilości pcheł i wszy, a w porze zimowej brak ciepłej bielizny. Już we wrześniu chłody tu panujące dały się mocno we znaki. Hulający po barakach wiatr, a w listopadzie mróz – nie dał możliwości najmniejszego wypoczynku.

Otrzymane przy wyjeździe z Gross-Rosen obuwie drewniane skończyło swój żywot już po 3-tygodniowym użyciu. Dopiero w kilka tygodni po tym, kiedy 20% więźniów wychodziło do pracy bez obuwia, z nogami poowijanymi szmatami, nadesłano nam tzw. klompy lub czółna drewniane, używane w Holandii. Zrozumiałe, że obuwie to w porze zimowej było niemożliwe do użycia i przynosiło straszne udręki. Uzupełnienie tych braków przez „heftlingów” było niedopuszczalne, a zarazem karane.

Sam dostałem kilka ciosów w głowę za zrobienie sobie czegoś w rodzaju kamizelki z papierowego worka po cemencie. Każdy podobny taki czyn był uważany za sabotaż i odpowiednio karany.

Jak powiedziałem, warunki i tempo pracy zależne były od: rodzaju wykonywanych przez dane firmy prac, cech charakteru kierujących pracą majstrów, usposobienia wachmanów, a w największej mierze od nadzorców, czyli kapów.

Używano np. różnych forteli, aby dostać się do firmy „kolony”, gdzie kapem był człowiek stosunkowo względny i ludzki.

Na cześć moją muszę podać, że do firmy „Forster”, gdzie zostałem, ze znajomością języka niemieckiego, mianowany kapem, garnęło się bractwo w różne możliwe do obmyślenia sposoby. Płacono tu odstępnę w postaci zupy czy swetra.

Miałem więc w swojej grupie ludzi przeważnie starszych i prawie wyłącznie inteligencję, a przepracowany z tymi ludźmi okres 6 miesięcy uważam za najlepszy w mojej karierze „heftlinga”.

Jeżeli już mowa o kapach, wspomnieć należy, że funkcję tę spełniali, jak już zresztą mówiłem, ludzie o charakterach jeśli nie zboczonych, to wprost zbrodniczych i jako tacy nosili zewnętrzne oznaki „godności”, tj. trójkątne naszywki kolorowe, i tak np. zawodowi przestępcy kryminalni mieli

zielone, my polityczni – czerwone itp. Do tego obowiązywało noszenie liter „P” wymalowanych lub wszytych na piersiach i spodniach pasiaków.

Ale jak na ironię lub dając upust wykoślawionej fantazji możnowładców obozowych, pozwalano na zgoła nie pasujące, a wręcz rozbieżne ze słowem „ausrotten” szczegóły, a mianowicie na teatry, chóry czy wreszcie drużyny sportowe.

Był więc i u nas teatrzyk, którego duszą i założycielem był dr Mączka⁷, brat dzielnie broniącej w późniejszym procesie norymberskim sprawy polskiej, dr Zofii Mączki.

Niestety, praktycznie biorąc, wartość występów (z uwagi na miejsce) była bardzo uboga. Fakt zaś, że spektakl taki mogli oglądać tylko więźniowie wyróżnieni, jak również brak jakichkolwiek rekwizytów lub dekoracji, stawiał teatrzyk ten w roli jarmarcznego cyrku, nie przynoszącego żadnej korzyści i tak wiecznie maltretowanemu więźniowi. Ciężko też darować mi będzie koledze Mączce fakt, że konferansjerkę i niektóre monologi prowadził często w języku niemieckim, choć w obozie było 95% Słowian, z czego około 30% narodowości ruskiej, nie znających języka niemieckiego.

Jedną z plag obozowych byli (o ironio) lekarze. Owo określenie, oby darowanym mi było przez grono uczciwych eskulapów z innych obozów.

Panowie ci, mając w najlepszym razie dwa lub trzy lata studiów, przyjęli na siebie obowiązki lekarzy jedynie po to, by uchronić się przede wszystkim od ciężkiej pracy i kosztem bliźniego chodzić zawsze z pełnym żołądkiem.

Ta kasta inteligencji – to najgorsi szkodnicy. Jestem pewny, że obóz w Brzegu miał w tym względzie wyjątkowego pecha. Toteż niejeden z żyjących byłych „pensjonariuszy” tego obozu chętnie widziałby tych panów na dożywociu w obozie pracy, a nawet w więzieniu.

Oto przykłady wyczynów ówczesnych Lagerarztów.

Na wstępie podać muszę, że aby dostać się do rewiru (izby chorych), użyć trzeba było nie lada fortelu lub skorzystać z protekcji władcy obozowego, sama bowiem najcięższa choroba, nie zawsze przynosiła pożądany efekt.

Rewir – to szczyt marzeń „heftlinga”.

⁷ Głównym założycielem i ostoją teatru w obozie w Brzegu był były aktor scen warszawskich, w obozie pełniący funkcję sanitariusza – Władysław Otto-Suski, nr więźnia 12448.

Zwolniony od pracy i stania w mroźne dni na apelach, był więc rewir magnelem, ciągnącym bez wyjątku wszystkich.

Dostać się na rewir, to jednocześnie wyzbyć się kilku koron sztucznego użębienia, zorganizowania panu Lagerarzowi tytoniu lub papierosów, względnie przekazania połowy zawartości paczki.

Znam wypadek, że pewien więzień przebył na rewirze co najmniej połowę czasu pobytu w obozie. Dla zamaskowania podobnych sprawek panowie tacy co kilka lub kilkanaście dni byli ze stanu chorych wypisywani, by na drugi dzień z powrotem z urojonym durchfallem czy tyfusem przyjmowani być mogli.

Sama opieka, jeśli o takiej mówić wolno, inna była dla tej kasty, a zgoła inna dla „czarnoroboczych”, a jeszcze inna dla tzw. mużułmanów. Jeśli więc taki opłacający się kapo kucharz czy blokowy traktowany był z pewną pieczołowitością, to już więzień z „Außendienstu” był kimś, komu udzielenie pomocy było aktem dużej łaski, a przyjęcie w stan chorych poparte musiało być co najmniej 39 stopniami gorączki.

„Mużułman” był zaś czymś, czego się brzydzono i stratę czasu przy ewentualnym udzieleniu mu pomocy uważano za sabotaż.

Nic dziwnego, że panowie lekarze wyglądali niby pączki, wizyty chorych skracali do dwóch godzin dziennie, a z doręczonych dla chorych kotłów wyławiali co najlepsze dla siebie i dla swoich pupilków. Wiadomym było, że pan Küchenkapo prowadził podwójną kuchnię, do której należał między innymi pan lekarz.

[...]

Nad wyraz ciężkie warunki bytowania spowodowały kilkakrotne usiłowanie ucieczki, i tak: 12 sierpnia uciekło z pracy dwóch więźniów, których po kilku godzinach złapano, a w dwa tygodnie później uciekło znów trzech braci, którzy po dwudniowej tułaczce, wygłodniali i zmoczeni dobrowolnie stawili się do obozu.

3 listopada, w sprytnie obmyślony sposób, wydostało się za druty trzech więźniów, którzy więcej nie wrócili. W kilka dni potem próbował ucieczki kanałem samotnik ruski, którego natychmiast złapano.

Wobec wszystkich tych nieszczęśliwców zastosowano drakońskie i wprost sadystyczne kary. Oprócz bicia doraźnego przez kapów i blokowych uciekinier otrzymywał 25 do 30 kijów. Do czasu wymierzenia tej kary stawiano takiego „w druty”, to jest w mały otwór o wymiarach 50 x 50 cm, opleciony drutem kolczastym do wysokości głowy. W miejscu tym stał bez okrycia przez kilkanaście godzin, to jest do wieczornego apelu.

Ubrany następnie w „berło” papierowe i zawieszoną na szyi tablicę z napisem w trzech językach: „Ja uciekłem, mnie złapano”, postawiony został przed frontem całego obozu na podwyższeniu, gdzie wygłosić musiał ostrzeżenie przed ewentualną próbą ucieczki.

W towarzystwie orkiestry przemaszerował taki biedak przed blokami, a następnie rozłożony na ławie i trzymany przez zgraję zbirów, w rodzaju kapów, otrzymywał od 25 do 50 kijów. Zależnie od wytrzymałości, względnie od siły uderzeń. Delikwent taki prawie zawsze zanoszony był na tzw. rewir, czyli izbę chorych, gdzie po zastosowaniu środków zaradczych wracał z kolei do tzw. karnej kompanii, w której praca była obostrzona i trwała bez przerwy od pobudki do capstrzyku, czyli ok. 13 godzin. Okres pobytu w kompanii zależny był od wyroku wydanego przez lagrowego, od 2 do 6 tygodni.

Jak dalece ciężkie były warunki życia w obozie niechaj świadczą ci, którzy mimo że byli świadkami strasznych kar cielesnych, jakie otrzymywali złapani po ucieczce koledzy, wykorzystywali każdą okazję ucieczki. Stosowanie nagrody dla tych, którzy wskażą, a raczej zdradzą zamiar ucieczki, nie powstrzymywało nieszczęśliwych od tych zamiarów.

Wielkim wydarzeniem był dzień 2 lutego, kiedy to w biały dzień zbiegło od razu 30 ludzi⁸. Zorganizowana akcja ta była głośna we wszystkich obozach i mało co nie pociągnęła za sobą strasznych dla całego obozu, nieobliczalnych skutków.

2 tygodnie przed datą 2 lutego grupa 30 ludzi zaczęła wyjeżdżać do pracy przy rozładowywaniu pociągów aprowizacyjnych na odległej 15 kilometrów od Brzegu stacji. Wyjątkowo lekka praca i możliwość zaopatrzenia się w tytoń, a nawet czekoladę, przyciągała rzesze ochotników. Ponieważ dobijali się o tę pracę wszyscy, lagrowy ustalił, że jeździli tam ludzie specjalnie przez niego wyróżnieni. Tak więc, jak co dzień, tak i 2 lutego, samochód z eskortą 4 wachmanów odwoził do pracy 30 wybranych więźniów.

O godzinie 16 tegoż dnia zaalarmowano telefonicznie komendanta obozu, że powracający z pracy więźniowie rozbroili eskortę oraz szofera i związawszy ich, porzucili w rowie, by umknąć z bronią w rękę w zdobytym samochodzie w kierunku dawnej granicy polskiej.

Już w dwie godziny później przyszedł w towarzystwie eskorty kapo tej grupy, Zawierucha (Ślązak), który zeznał, co następuje:

⁸ Ucieczka ta miała miejsce 5 stycznia 1945 r.

W drodze powrotnej do obozu nagle rzuciło się kilku na wachmanów, których po krótkim szamotaniu się (jeszcze w biegu wozu) rozbrojono i związano. Zawierucha, który nie był wtajemniczony w tę sprawę, przeciwstawił się akcji, lecz z biegiem wypadków wyleciał z wozu. Kapo ten widział, że opodal po zatrzymaniu się samochodu unieszkodliwiono szofera, on zaś sam, ostrzelany przez towarzyszy, uciekł i zawiadomił okoliczne posterunki.

W kilka godzin po tym doprowadzono do obozu trzech nieszczęsnych uciekinierów, których z powodu strasznych przeżyć oraz pobicia nie sposób było poznać. Nazajutrz rano doprowadzono pięciu, a w kilka godzin później znów czterech.

Co przeszli ci ludzie w czasie tej źle zorganizowanej akcji, świadczył ich wygląd. Sine, zapuchnięte i zakrwawione twarze mówiły wszystko.

Trzeciego dnia wieczorem zawiadomiono obóz, że w lasach, 45 kilometrów od Brzegu, schwytano jeszcze 14 uczestników ucieczki.

Zawiadomiono o tym Gross-Rosen, jako centralę, i czekano na decyzję. Na apelu komendant obozu oświadczył, że złapani z bronią w rękę będą rozstrzelani, a reszta, tj. my – zdziesiątkowani. Było źle, bardzo źle.

W nocy tegoż dnia doprowadzono czternastu uciekinierów. Z liczby trzydziestu uciekło tylko trzech⁹, a dwóch zabitych zostało w akcji¹⁰. W czasie trzech dni, jakie dzieliły nieszczęśliwych od wyroku, przeszli oni gehennę, jakiej nie sposób opisać.

Pobici w straszny sposób w czasie doprowadzania, bici byli kolejno przez swych blokowych i przez opisanych przeze mnie kapów, a tracąc przytomność oblewani byli wodą, by znów być bitymi.

Gdy zajrzałem po przyprowadzeniu ostatnich ze złapanych do magazynu mundurowego, gdzie odbywały się badania, a właściwie egzekucje, ciała maltretowanych przedstawiały odstraszący widok. Uciekłem.

Do godziny 9 wieczorem pędzeni byli wszyscy kijami, tylko w białiznie, ze związanymi rękoma, po śniegu, robiąc tzw. sport. Kiedy wreszcie podjechały samochody, poruszające się czarne masy ludzkie trzeba było na nie wrzucać.

Nie odstraszyło to innych, bowiem na tydzień przed egzekucją uciekło znów dwóch, nie pozostawiając po sobie śladu.

⁹ Nie zostało schwytanych tylko dwóch uczestników ucieczki: Emil Bratek i Jerzy Tęsiowski (w obozie przebywał pod nazwiskiem Sobocki Józef Jerzy).

¹⁰ Zginęło podczas ucieczki 5 jej uczestników: Tadeusz Kowalski, Albin Raszewski, Franciszek Więckowski, Alfons Zdybalski i jeden o nie ustalonym nazwisku.

Niestety, wśród nieszczęśliwców było aż czterech z mojej kolumny, w tym jeden 63-letni starzec. Wszyscy trzej inteligenci, znoszący swój los z godnością prawdziwego Polaka.

Dopiero rok później odnalazłem jednego z uczestników tej strasznej wyprawy do wolności. Jest nim ob. Karczyński, mieszkający w Krakowie, którego syn dziwnym zbiegiem okoliczności przebywał w sąsiednim obozie Fünfteichen z Zenkiem, o czym zresztą nie wiedzieliśmy.

Prawie cała rodzina Karczyńskich, tj. ojciec wraz z dwoma synami, za śmiały akt wywrotowy w Krakowie, skazani zostali, na kilka dni przed osadzeniem w obozie koncentracyjnym, na karę śmierci. Nazwiska ich figurowały na rozwieszonych wszędzie afiszach, jako straconych przez rozstrzelanie.

Jak już nadmieniałem, jeden z nich, tj. ojciec Karczyński, za ucieczkę z Brzegu, skazany został po raz drugi na śmierć. Wyrok wykonać miał sam Adolf Karczyński wraz ze swoimi kompanami, przez zrzućcie się z własnoręcznie usypanego nasypu, na którym stała szubienica.

Wskutek nagłej ewakuacji szatański plan ciemieżców nie został wykonany. Adolf Karczyński żyje, żyje też starszy jego syn, a jako dowód tej tragikomedii posiada i nosi przy sobie fotokopię afisza, dokumentującego jego śmierć, ze szponów której opatrność pozwoliła mu wyrwać się po raz drugi.

Niestety, młodszy syn zginął w jednym z obozów i wszelki ślad po nim zaginął. Cześć jego pamięci!

Podawałem tylko z grubsza warunki życia w naszym obozie. Co do aprowizacji, to gdyby nie indywidualne tzw. organizacje, śmiertelność byłaby o wiele większa, połowa bowiem spożytych przez nasz organizm kalorii pochodziła właśnie z kombinacji, choć efektem tych były wyłącznie buraki, a rzadko kiedy kartofle czy chleb.

Coraz częstsze ataki lotnicze wskazywały na rychłą ewakuację obozu i tak 12 lutego¹¹ poczyniono pierwsze ku temu przygotowania. Zbijano sianie, skrzynki, a niektóre firmy uprzednio zlikwidowały się.

Nadzieja nasza, że może nie zdąży – prysnęła. Obstawiono nas strażą i w konwoju popędzono pieszo w kierunku Gross-Rosen. Mieliśmy przebyć ok. 120 km¹².

¹¹ Ewakuacja obozu Brieg nastąpiła 23 stycznia 1945 r.

¹² Patrz przypis 4 (str. 25).

Jednak w drodze, po przejściu 12 kilometrów, okazała się nagle potrzeba załadowania nas do wagonów. Strzały artylerii aż nadto było słycać. Ruch ewakuacyjny ludności cywilnej duży, całe karawany wozów, wózków, a szczególnie uciekinierów, dążyły na zachód.

Załadowano nas do wagonów (po 80 osób do jednego). Przestrzeń 100 km odrobiliśmy w ciągu pełnych 9 godzin, co daje wyobrażenie o planowości ewakuacji (9 godzin plus 3 godziny marszu starczyło, abyśmy w otwartych wagonach towarowych zmarli do szpiku kości).

Kilka stacji przed Gross-Rosen mijamy pociąg, liczący ok. 38 wagonów, z transportem kobiet z Oświęcimia. Zasięgnięte poprzez tor informacje wyjaśniły nam, że istoty te (przeważnie Polki) są w drodze od 4 dni. Umieszczone nawet z małymi dziećmi w otwartych wagonach, przy 10-stopniowym mrozie, zasypane topniejącym wskutek ciepłoty ciała śniegiem, przedstawiały niecodzienny widok. Dochodzący płacz dzieci wzbudzał litość nawet eskortujących nas Niemców, a niektórych oburzał i wywoływał ostrą krytykę SS-owskich zarządzeń.

[...]

W takich oto warunkach dobrnęliśmy do stacji Gross-Rosen. Zmarzniętych, niemal sztywnych, pognano nas szosą do obozu.

Inny zgoła widok przedstawiał ten, zawsze zdyscyplinowany, obóz. Nerwowość wykonywanych zarządzeń, przepelnione bloki i nieład były wyraźnym dowodem, że z potęgą wielkich Niemiec jest źle. Źle było więc i w obozie.

Ciągle napływające transporty więźniów zapełniały nie tylko baraki, ale i place obozu. Brak środków dowozowych sprawiał, że do obozu wkradł się straszny głód.

Przybywający z dalekich obozów, pieszo po 250 km, ludzie ginęli masami i tylko najwytrwalsi i najwytrzymalsi docierali do tego miejsca. [...]

Szczęśliwy zbieg okoliczności, a raczej bliższa odległość i wcześniejsze przybycie sprawiły, że otrzymaliśmy w nowym lagrze dach nad głową. Inni, a między innymi kolumna syna z Fünfteichen, otrzymali lochy piwniczne, względnie podwórze.

W ciżbie tej, w masie poruszających się widm, odkrytych kocami lub workami – śmierć zbierała żniwo. Kompletne wyczerpanie fizyczne, choroby zakaźne spowodowały wśród żywych cmentarzysko. Ci, którzy dobrnęli ostatkiem sił myśląc, że tu nakarmieni, odpoczną, zawiedli się. Prawie puste magazyny nie mogły sprostać wyżywieniu 30 tysięcy ludzi ponad właściwy stan obozu. Mróz, brak najprymitywniejszych środków

lecniczych pogarszały tragizm sytuacji z dnia na dzień. Krematorium, które spalało 4 ciała na godzinę, choć czynne dzień i noc nie mogło też sprostać zadaniu. Rosnące stopy zmarłych poczęto doraźnie zakopywać.

Jak więc powiedziałem – mróz, brud (olbrzymie ilości robactwa), brak przestrzeni wykluczały jakąkolwiek możliwość obrony. Jeśli podam, że obóz mój liczący 1000 ludzi, umieszczony był w jednym baraku (jedna izba) o wymiarach 20 na 15 metrów, da to właściwy obraz sytuacji ludzi.

Spaliśmy dosłownie jedni na drugich i aby utrzymać masy te w jakiegokolwiek dyscyplinie, stosowano już nie bicie, a maltretowanie, nikt tu z nikim się nie liczył.

Wyrywając setkami swe ofiary, śmierć czyniła wszystkich na wszystko obojętnymi. Życie w tych warunkach było straszne. Jeżeli przypomnę sobie obóz Brieg, obóz sprzed tygodnia, to był to w porównaniu z warunkami tutejszymi – raj.

[...]

Rankiem 15 lutego¹³ rozchodzi się wieść o przygotowaniach do ewakuacji. [...] W dwa dni później blok nasz, jak i była kompania „Brieg” oraz kilka innych, już w ogólnej liczbie około 2500, zostaje zmasowana i po zaopatrzeniu (zlituj się Boże) w jedną drugą bochenka chleba plus 10 dkg kiszki, opuszczamy po raz drugi bramę obozu Gross-Rosen.

¹³ Ewakuacja obozu głównego rozpoczęła się wcześniej. Ostatni transport ewakuacyjny odszedł 10 lutego 1945 r.